

# Jerzy Franke

---

## Lucyna Ćwierciakiewiczowa

---

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 31/1, 117-133

---

1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JERZY FRANKE (Warszawa)

## LUCYNA ĆWIERCZAKIEWICZOWA

Pozostała w pamięci jako autorka książek gospodarczych i kucharskich, z których 365 *obiadów* zdobyło niegdyś miano swoistej biblii sztuki kulinarnej. Z czasem zapomniano o jej ekstrawagancjach i towarzyskich skandalach. A przecież przez wiele lat skupiała na sobie uwagę kręgów towarzyskich Warszawy. Stała się bohaterką wielu anegdot, wśród których trudno dziś oddzielić te autentyczne od licznych imaginacji tworzonych ku ucieście ówczesnego audytorium. Pani Lucyna świadomie bowiem prowokowała publikę, prowadziła z pasją grę towarzyską, sobie powierzając główną w niej rolę. Kreowała do pewnego stopnia swój wizerunek i w tym sensie jej biografia w równym, a może większym stopniu zasługuje na miano twórczości, co pozostałe po niej teksty. Jednych pozyskiwała odwagą i naturalną skłonnością do obalania towarzyskich konwenansów, wielu razila jednak jej natarczywość, rudaśny humor, cięty język. Zapewne nie miało się z prawdą stwierdzenie, iż „bano się jej więcej, aniżeli kochano”. Z racji pogardy dla mieszczańskiego *savoir vivre'u* przyczepiano jej barwne etykiety, z których kuchara, z racji zainteresowań autorki, nie należała do zbyt wyszukanych. Dzięki impulsywnemu charakterowi i niekonwencjonalnemu zachowaniu, uczciwie zapracowała na opinię *la femme terrible* ówczesnej Warszawy.

Urodzona w 1829 r., pochodziła z von Bachmanów, rodziny znanej z niepospolitej ekstrawagancji. Brat Lucyny, o osiem lat starszy, Karol Bachman, z wykształcenia prawnik, współpracował z „Biblioteką Warszawską”, publikując w latach 1842—1849 szereg artykułów na temat prawodawstwa europejskiego. Felicjan Faleński, zawsze stronnicy w swych opiniach, tak go charakteryzował: „Brat słynnej Ćwierczakiewiczowej, tyleż wykwintny salonowiec, ile tamta była zawsze tuzinkową przekupką. Człowiek zdolny, ale niesłychany rozpustnik. Skończył na tym, że się powiesił w Lasku Bielańskim, nie wiadomo dotąd, czemu”<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> F. Faleński, *Wspomnienia z mojego życia*, [w:] *Miscellanea z pogranicza XIX i XX wieku*, oprac. J. Rudnicka, Wrocław 1964, s. 39—40.

Etykieta tuzinkowej przekupki wskazuje, jak silne emocje wzbudzała u współczesnych autorka *365 obiadów*. Córka wojskowego, odebrała domowe wykształcenie, które po latach tak wspominała: „dorastałam lat 15-stu, skończywszy już niby edukację, choć uczyłam się w domu po francusku, bo to było ważniejsze jak literatura lub historia polska, malować, grać na fortepianie i śpiewać od Włoszki Francetti, które to lekcje płacono po 3 ruble, ja też śpiewałam arie z Łucji, Lukrecji i Żydówki, nie umiając ani jednego solfedżja. Takie to było ówczesne powierzchowne wychowanie”<sup>2</sup>.

W ułamkach wspomnień, artykułach i recenzjach Ćwierczakiewiczowa dokonywała swoistej autokreacji, która wzbudzała u współczesnych zdziwienia, a licznych skłaniała do złośliwych uwag. Uchodząca za szorstką i apodyktyczną, w swych tekstach z zadziwiającą szczerością ujawniała pokłady czułości, wrażliwości, ba, skłonności do sentymentalizmu, egzaltacji i czułościowych wzruszeń. Sama, szukając źródeł przypisywanej sobie tkliwości, wskazywała na przeżycia z dzieciństwa: „gdym zaczynała dopiero coś rozumieć o świecie i życiu, ojczym mój czytywał nam całymi wieczorami Walterskotta i innych naówczas poczytnych autorów. Dawniej, gdy czas nie należał do tej złotej monety, za którą go dziś uważają, szara godzina była w rodzinie jedną z najmilszych chwil dnia; dopiero więc, gdy się dobrze ściemniało lokaj wnosił na srebrnej tacy parę wysokich srebrnych lichtarzy, z dużymi grubymi łożowemi świecami w towarzystwie srebrnych szczypcy na wąskiej srebrnej także tacce. Platerowanych rzeczy nie znano jeszcze, a świece woskowe palono przy gościach. Sądzę, że owo słuchanie romansowych powieści wyrobiło we mnie taką egzaltowaną tkliwość! Na przykład słuchając Łucji z Lammermoru, nazwisko jej ukochanego tak mi się podobało, że z umiesieniem ośmioletniego dziecka wołałam: ach Edgar Rawenswood! jeżeli nie możemy żyć, umierajmy razem! [...] A co później? żyłam prędko, bo w dwudziestym trzecim roku miałam już drugiego męża, a ten mój najzaciejniejszy, najrozumniejszy i najukochańszy z ludzi mawiał mi, że m sżła przez życie jak kometa, paląc wszystko poza sobą. Byłam zawsze entuzjastką!”<sup>3</sup>. Dodajmy gwoli ścisłości, iż rozstawszy się z pierwszym mężem, obywatelem ziemskim Feliksem Staszewskim, poślubiła inżyniera Stanisława Ćwierczakiewicza. Nie posiadając własnych dzieci, przyjęła na wychowanie dziewczynkę-sierotę, dała jej staranne wykształcenie i wydała w 1880 r. za mąż. Owdowiała w 1882 r.<sup>4</sup>

<sup>2</sup> L. Ćwierczakiewiczowa, *Z wiosnianych moich lat. Moja pierwsza i ostatnia miłość*, „Kalendarz na rok 1891. Kolęda dla gospodyń przez Autorkę 365 obiadów”, s. 147. Tekst ten stanowił zapewne fragment nie opublikowanych *Pamiętników* Ćwierczakiewiczowej. Los rękopisu nie jest znany.

<sup>3</sup> *Tamże*, s. 151.

<sup>4</sup> *ab*, *Z tygodnia na tydzień*, „Tygodnik Ilustrowany”, 1901, nr 10, s. 144; W. D., *Świat*, „Biesiada Literacka”, 1901, nr 10, s. 198.

Pierwszą książkę, *Jedynie praktyczne przepisy wszelkich zapisów spiżarnianych oraz pieczenia ciast*, wydała w 1858 r. Liczyła wówczas 29 lat. W 1860 r. wydrukowała własnym sumptem, w nakładzie 2 tys. egzemplarzy, *365 obiadów za pięć złotych*. W latach następnych opublikowała dalsze pozycje, w tym *Poradnik porządku i różnych nowości gospodarczych* (1876), *Naukę robienia kwiatów bez pomocy nauczyciela* (1879), *Podarunek ślubny, kurs gospodarstwa miejskiego i wiejskiego dla kobiet* (1885), *Cokolwiek chcesz czyścić, czyli porządki domowe* (1887). Największym powodzeniem cieszyły się wszak jej wczesne wydawnictwa. *Jedynie praktyczne przepisy...* doczekały się do końca wieku dziewięciu wydań, *365 obiadów*, wznawiane do 1897 r. siedemnaście razy, należało do absolutnych bestsellerów ówczesnego rynku wydawniczego. Dzięki niespotykanym w warunkach polskich nakładom, Ćwierczakiewiczowa należała do najpoczytniejszych autorów. Lubiła podkreślać swą wyjątkową pozycję wśród ludzi pióra, skromnie dodając, iż tylko „Sienkiewicz i Ćwierczakiewiczowa rozchodzą się w takiej ilości egzemplarzy, a spotkać ich można w kuchni i w salonie”<sup>5</sup>. Nie kryła się za tym wyłącznie próżność, ale i świadomość własnej wartości wsparta niebagatelnymi dochodami. Chudy literat warszawski mógł jedynie z nieukrywaną zazdrością spoglądać na niewyobrażalne dla niego wysokości honorariów. Z okazji trzynastego wydania *365 obiadów* Marian Gawalewicz relacjonował słowa autorki: „Bądź zdrow, jadę za granicę; wydałam trzynastą edycję moich *Obiadów*, napisz o tem i dodaj, że wzięłam dotychczas 84 000 rubli za moje książki gospodarskie!... 84 000!... — powtórzyła podnosząc palec do góry z taką powagą, że zaprzeczyć nawet w myślach nie śmiałem i spuściłem głowę upokorzony, zgnębiony, zawstydzony tą cyfrą, której w najśmielszych marzeniach literacko-wydawniczych nawet nie dotknąłem. Mój Boże, dlaczego nie obdarzyłeś mnie kulinarnym geniuszem!... byłbym zarabiał tysiące, jeździł za granicę i wydawał trzynaste edycje moich dzieł, po których ludzkość oblizywałaby się na moją pamiętkę”<sup>6</sup>. W 1886 r. „Kurier Warszawski” następująco anonsował czternaste wydanie *Obiadów*: „Cóż by innego u nas mogło się doczekać aż 14-tej, wyraźnie czternastej edycji, jeżeli nie wielkopomne *365 obiadów* naszego Brillat-Savarina generis femini, pani Lucyny Ćwierczakiewiczowej”<sup>7</sup>. Z racji rozejścia się 70 000 egzemplarzy *Obiadów*, Bolesław Prus ułożył na cześć autorki nieco ironiczny „poemat”.

„O czym u nas nie marzył Mickiewicz  
To zdobyła pani Ćwierczakiewicz”<sup>8</sup>.

<sup>5</sup> Q. [M. Gawalewicz], Pani Lucyna „Kraj” 1901, nr 9, dod., s. 107.

<sup>6</sup> Quis [M. Gawalewicz], *Pogadanka*, „Tygodnik Powszechny”, 1883, nr 28, s. 4:8.

<sup>7</sup> Czternaste wydanie, „Kurier Warszawski”, 1886, nr 70 b, s. 2.

<sup>8</sup> *Kronika* z 16 V 1886, [w:] B. Prus, *Kroniki*, oprac. Z. Szwejkowski, t. 9, Warszawa 1960, s. 144.

Aktywność naszej bohaterki była zaiste imponująca. Przez 29 lat redagowała w „Bluszczu” dodatek mód i dział gospodarski. Co tydzień opisywała najnowsze kreacje, pomieszczała przepisy i porady kulinarne, wskazówki prowadzenia gospodarstwa domowego. Od pierwszego numeru „Bluszczu” nie tylko prowadziła, redagowała, ale niemal w całości wypełniała własnym piórem dodatek pisma. Niekiedy przepisy kulinarne i porady gospodarcze publikowała w oddzielnym suplemencie jako *Sekreta domowe i gospodarskie* lub *Gospodarstwo miejskie i wiejskie*. Maria Inicka, redaktorka „Bluszczu”, zapatrzona we wzniosłe cele etyczno-wychowawcze, przekazała na ręce Ćwierczakiewiczowej tak prozaiczny dział kulinarno-modniarski, zbędny z punktu widzenia celów programowych pisma, acz konieczny dla pozyskania czytelników.

Cotygodniowe „Wzory ubiorów i robót” zawierały drzeworytowe podobizny najnowszych modeli strojów, fragmentów garderoby, detali haftów, falbanek, serwet itp. Między rycinami publikowano zarówno objaśnienia do wzorów, jak i porady praktyczne, w tym „Sekreta gospodarskie” Ćwierczakiewiczowej. „Wydawca „Bluszczu”, Michał Glücksberg, ilustracje strojów sprowadzał z pisma „Der Bazar”. Uzyskał od wydawców magazynu lipskiego wyłączność na publikację rycin. „Wydawca bowiem zagraniczny — donosił Glücksberg — na zasadzie umowy ze mną zawartej, drzeworytów swego pisma ani w części ani w całości żadnemu pismu w języku polskim wychodzącemu udzielać nie jest mocen”<sup>9</sup>. Układ typograficzny dodatku wskazuje na oddzielny druk tekstu i rycin drzeworytowych. Sądzić można, iż z lipskiej drukarni otrzymywał Glücksberg stronicę zadrukowaną wyłącznie materiałem ilustracyjnym, ze światłem w miejscach objaśnień. Wówczas do akcji wkraczała Ćwierczakiewiczowa. Do jej zadań należało tłumaczenie niemieckiego tekstu objaśnień do rycin oraz uzupełnienie go poradami i przepisami. Następnie stronicę dodatku kierowano do powtórnego druku, tym razem wyłącznie tekstowego. Gotowy materiał, zawierający oryginalne podobizny najnowszych mód z pierwszorzędnego żurnalu wraz z polskimi objaśnieniami i licznymi uzupełnieniami, trafiał do odbiorców. Wymagało to od wydawcy i redakcji dodatkowych zabiegów, a od metrapaży niemałych umiejętności. Czy istniał prostszy sposób druku dodatku? Transport klocków drzeworytniczych z Lipska należy wykluczyć, gdyż redakcje na ogół nie użyczały oryginałów. Istniała natomiast możliwość sporządzenia kopii galwanoplastycznych. W przypadku kilkunastu, a czasem kilkudziesięciu drzeworytów tygodniowo, bo tyle mieścił ich dodatek, wymagałoby to poważnych nakładów. Koszt sporządzenia kopii galwanicznej dorównywał bowiem cenie oryginału. Łatwiejsze w transporcie matryce stereotypowe nie wchodziły w grę ze względu na niezadowalającą jakość techniczną, istotną w przypadku druku drobnych szcze-

<sup>9</sup> M. Glücksberg, *Od wydawcy*, „Bluszcz”, 1865, prospekt, s. [2].

głów robót szydełkowych czy ściągów. Jakość techniczna ilustracji w dodatku budzi podziw dla rzemieślniczej, czysto reprodukcyjnej, a jakże perfekcyjnej kreski ryłca ówczesnych pracowników drzeworytni.

Artykuły z zakresu gospodarstwa domowego Cwierczakiewiczowa publikowała w wielu periodykach, z „Kurierem Warszawskim” na czele. Po odejściu z „Bluszczu” współpracowała z „Tygodnikiem Mód”, w którym kierowała skromną objętościowo rubryką „Wskazówek i rad kulinarnych”. Do tygodników warszawskich nadsyłała smakowite, pełne werwy, plotkarskie korespondencje z podróży do miejscowości kuracyjnych, Iwonicza, Szczawnicy, Zakopanego. Zwłaszcza opis peregrynacji zakopiańskich zachował szczególnie urok, a i walor historycznego już dziś dokumentu.

W 1875 r., będąc już głośną autorką i uznanym autorytetem w swej dziedzinie, podjęła edycję kalendarza dla kobiet. *Koleśda dla gospodyń przez Autorkę 365 obiadów* ukazywała się corocznie w ciągu 24 lat. Zainicjował cykl *Kalendarz na 1876 r.*, zakończył w okolicznościach nader dramatycznych tom na 1899 rok. Każdy rocznik, w przystępnej cenie 50 kopiejek, składał się z czterech działów: kalendarzowego, informacyjnego, gospodarskiego i literackiego. Część informacyjna zawierała tradycyjne materiały spotykane w tego typu publikacjach: spisy lekarzy, tabele opłat pocztowych i kolejowych, spisy jarmarków w poszczególnych guberniach. Część gospodarska dotyczyła prowadzenia kuchni domowej, ogrodnictwa, hodowli, zawierała także wiadomości z zakresu higieny. Tu publikowała Cwierczakiewiczowa swoje *Pogawędki gospodarcze*. Zajmowała się w nich najróżniejszą problematyką — hodowlą drobiu i praniem w nafcie, soleniem masła i smażeniem owoców, zabijaniem wieprzy, urządzeniem kiełbas i korzystaniem z wód kolońskich. Snuła wspomnienia z własnych eksperymentów kulinarnych, wykladała wreszcie swoistą filozofię, a może tylko pragmatykę domowego gospodarstwa. Streszczała się ona w kilku elementarnych zasadach — rannym wstawaniu, skrupulatnej oszczędności, równowadze w wydatkach i stałym bilansowaniu domowego budżetu, pracowitości, dobrej organizacji pracy, doglądaniu służby, zachowaniu gruntownego ładu w domu, drobiazgowemu planowaniu zajęć gospodarskich.

Pracę, porządek i oszczędność bez skąpstwa uznawała za trzy filary rozsądnego gospodarstwa<sup>10</sup>. „Praca sama w sobie — pisała — jest zbawienną tak dla ciała jak dla ducha naszego, trzyma oboje w karchach. Nie poniżając człowieka podnosi go i uzacnia”<sup>11</sup>. Takie, dość dobroduszne stwierdzenia, w okresie pozytywizmu należały do truizmów. W ustach L. Cwierczakiewiczowej nabierały jednak dodatkowych znaczeń z racji wyznania autorki. Należała ona bowiem do zboru ewangelicko-reformo-

<sup>10</sup> [L. Cwierczakiewiczowa], *Pogawędki gospodarcze*, „Kalendarz na rok 1893...”, s. 23—24.

<sup>11</sup> L. Cwierczakiewiczowa, *Aforyzmy*, „Kalendarz na rok 1894...”, s. 248.

wanego, niewielkiego wówczas w Królestwie skupiska wyznawców doktryny Jana Kalwina. Nobilitacja w naukach genewskiego teologa aktywności, zaradności, oszczędności, pracowitości jako świadectw łaski Bożej wyjaśnia do pewnego stopnia tak częstą obecność tych wątków w piśarstwie Cwierzakiewiczowej. Również gorszące współczesnych manifestowanie powodzenia życiowego, sukcesu finansowego staje się bardziej zrozumiałe w świetle kalwińskiej doktryny predestynacji. Dodajmy, iż autorka *Obiadów* potrafiła dbać o własne interesy. W zachowanej korespondencji do redakcji pism warszawskich znajdujemy akapity zbliżonej treści, typu: „Przy tej sposobności proszę uprzejmie o zareklamowanie 2(iego). wydania mego *Kursu gospodarstwa dla kobiet*, którego pierwsze dawno wyczerpane”<sup>12</sup>. Przychylność innych pozyskiwała bardziej wyrafinowanymi zabiegami. Nadsyłane corocznie Bolesławowi Prusowi *Kolędy* zaopatrywała w oryginalny suplement z własnej spiżarni — słoik marynat, butelkę likieru czy konfiturę. Zniewolony prezentami piśarz skrupulatnie odnotowywał w felietonach nowe publikacje autorki, dzieląc się z czytelnikami serdecznymi, acz podszytymi ironią uwagami. „Ktoś powiedział — pisze Prus — że do sakramentu małżeństwa potrzebne są następujące kwalifikacje: pełnoletność, wolna a nieprzymuszona wola i... 365 obiadów za pięć złotych. Otóż jak obiady Cwierzakiewiczowej stanowią integralną część małżeństwa i niezbędną umysłową przyprawę miodowych miesięcy, o ile epoka ta godzi się z umysłowością, tak *Kalendarze* wymienionej autorki są koniecznym składnikiem naszej literatury gwiazdkowej. Śnieg, post, opłatki nie dowodzą jeszcze bliskości Bożego Narodzenia. Dopiero gdy wyjdzie z druku *Kolęda dla gospodyń*, czujesz w powietrzu Wigilię. Ja przynajmniej, ile razy odbiorę list zaczynający się od słów: mój panie, jesteś genialny, a przy nim ładnie oprawny tomik z rejestrzykiem bielizny damskiej, męskiej i dziecinnej, tyle razy mam ochotę życzyć komu Nowego Roku! [...] Po tej wzmiance najmniej sprytny warszawiak domyśli się, że wydawnictwu temu chce zrobić reklamę. A jakże. Jest to jeden z moich dorocznych obowiązków”<sup>13</sup>. Prus podkreślał zalety kolejnych roczników kalendarza, ganił poezję w stylu „klituś bajduś” módl się za nami” i nieodmiennie łagodnie pokpiwał z nadprogramowego dodatku. „Największą jednak osobliwością *Kolędy* jest — pisał — dołączające się do niej premium w formie butelki soku i słoika gruszek w occie. Jeżeli każdy egzemplarz książki posiada tego rodzaju dodatek, to naprawdę wypada lękać się, że autorka w roku bieżącym dołoży do swego wydawnictwa”<sup>14</sup>. W żartobliwym tonie anonsował *Kolędę na rok 1886*: „Adwokatów na przykład bardzo obejdzie paragraf o Marynowaniu ozorów, literatów o Głowiźnie fasze-

<sup>12</sup> Rkps Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy, akc. 2583.

<sup>13</sup> *Kronika* z 20 XII 1879, [w:] B. Prus, *op. cit.*, t. 4, Warszawa 1955, s. 206—207.

<sup>14</sup> *Kronika* z 10 XII 1881, *tamże*, t. 5, Warszawa 1955, s. 207.

rowanej, a gospodarze domów posiadający nie wynajęte mieszkania, z radością przeczytają rzecz o Ogrodnictwie w pokojach. Nawet kury mogłyby z pożytkiem przestudiować artykuł o Przechowywaniu jaj, a indyki o Tuczeniu się kluskami i orzechami”<sup>15</sup>. Nie trzeba dodawać, iż felietony Prusa pozyskiwały nowych czytelników wydawnictwom pani Lucyny. Wydawczyni *Kolęd* należała bez wątpienia do najpoczytniejszych autorów, a również prekursorów pomysłowej autoreklamy.

Z równą energią i inwencją okazywaną akcjom prasowo-wydawniczym L. Ćwierczakiewiczowa angażowała się w prace pedagogiczne. W 1875 r. założyła kurs praktycznej nauki gotowania. Trzy- czteromiesięczny cykl spotkań, przeznaczony dla grupy 8 uczennic, kosztować miał niebagatelną sumę 50 rubli<sup>16</sup>. Prowadziła także kursy gospodarstwa domowego „kończącym naukę pannom w dwóch pierwszorzędných zakładach naukowych pp. Porazińskiej i Smolikowskiej”<sup>17</sup>. Teksty wykładów spożytkowała następnie w *Kursie gospodarstwa dla kobiet*. Nie znamy efektów prac pedagogicznych Ćwierczakiewiczowej, pozostały natomiast świadectwa jej krytycznego stosunku do praktykantek we własnym gospodarstwie domowym. Osoba ta, zwana służącą do gotowania — tytuł kucharki rezerwowała Pani Lucyna dla siebie — zatrudniana była na trzy kwartały, albowiem kwartał czwarty spędzała chlebodawczyni u wód. Po 9-miesięcznej praktyce służąca otrzymywała świadectwo z adnotacją „nauczyła się u mnie trochę gotować”<sup>18</sup>. Najwyraźniej Pani Lucyna nie zamierzała dzielić się z postronnymi własną omnipotencją kulinarną! Ganiła swe tępe podopieczne i dzięki temu przydawała dodatkowych blasków własnym umiejętnościom. O służącej „ludzie sądzą — pisała — iż będąc u mnie musi wybornie znać się na kuchni, tymczasem ona zaledwie umie gotować rosół, zrobić uszka do barszczu, bo co do barszczu, to go już nie umie, do zrobienia tej zdrowej a wybornej zupy potrzeba trochę sprytu, a o nią [sic!] jak wiemy najtrudniej, dalej umie upiec kurczę i usmażyć cielece kotlety [...] zrobi ona jeszcze wiele różnych potraw, ale przy mojej osobistej pomocy, bo nawet tego co raz dobrze zrobiła, na drugi raz już nie umie. Żal mi jest mojej nauki i męczę się 9 miesięcy [...]”<sup>19</sup>. Cóż, wobec takich sądów nawet niewierni i wątpiący gotowi byli umiejętności pani Lucyny nazwać sztuką kulinarną.

Niezwykły temperament ujawniała Ćwierczakiewiczowa w życiu towarzyskim Warszawy. Uczestniczyła w ważniejszych wydarzeniach, sama

<sup>15</sup> *Kronika* z 22 XI 1885, tamże, t. 8, Warszawa 1959, s. 220.

<sup>16</sup> Por. „*Kurier Warszawski*”, 1874, nr 43, s. 3.

<sup>17</sup> L. Ćwierczakiewiczowa, *Pogawędki gospodarcze*, „*Kalendarz na rok 1890...*”, s. 8.

<sup>18</sup> [L. Ćwierczakiewiczowa], *Pogawędki gospodarcze*, „*Kalendarz na rok 1893...*”, s. 14.

<sup>19</sup> *Tamże*, s. 15.



organizowała wiele akcji, zapisując się szczególnie chlubnie w działalności opiekuńczej. Wspierała ubogich, łożyła niemałe sumy na rzecz bezdomnych, obdarzała datkami pozostających w niedostatku<sup>20</sup>. Urządzała bezpłatne obiady dla gromady małych druciarzy, udzielała rzeczowej pomocy najbiedniejszym, upośledzonym i wykolejonym<sup>21</sup>. Wrażliwa na krzywdę ludzką, apelowała w prasie o zbiórki na rzecz najuboższych. Brała udział w stowarzyszeniu dam zajmujących się rozdawaniem odzieży, wskazywała w prasie na otchłanie nędzy i równie wielką obojętność społeczeństwa. „Wybierzcie co najgorsze — wzywała — gałgany nawet, bo i te wyreperowane i zeszyte, zdadzą się ubogim; stara, najstarsza bielizna, buty, trzewiki, pantofle bezużyteczne, u was w kątach leżące, zdadzą się dla tych, co nadzy i bez obuwia czekają przyjscia Chrystusa w dniu 25-tym grudnia 1896-go roku. Oto jest praktyczny pogląd na tę piękną, wyższego poczucia sprawę! Może Bóg wysłucha mej gorącej prośby, aby słowa moje przeniknęły serca nie tylko miłosierne, ale i leniwo-apatyczne, a wtedy i wilk będzie syty i owca cała, bo nie dając pieniężnego wsparcia, dacie bardzo wiele, dając to, co wam niepotrzebne”<sup>22</sup>. Dobroć, miłosierdzie, ale i odwagę, wyrażoną w osobliwym, niepowtarzalnym stylu, wykazała już w czasie powstania styczniowego. Autorka *Nad Niemnem* ręczyła za autentyczność opowieści, którą potem powtarzano jako anegdotę z życia niesfornej kobiety. „W 1864-m opiekowała się więźniami wysyłanymi na Syberię, a gdy jednemu z nich obuwia ciepłego zabrakło — pisze Orzeszkowa — zatrzymała na Krak[owskim] Przedmieściu opakowany powóz jakiś, wlaźła doń i przybywającemu ze wsi obywatelowi buty z nóg ściągnęła”<sup>23</sup>.

Niekiedy energię i zapał lokowała w błahych przedsięwzięciach, np. domagając się pozostawiania w szatni teatralnej damskich kapeluszy, których fantazyjne kształty i ogromne rozmiary skutecznie przeszkadzały współwidzom. Sama bodaj niezbyt dokuczliwie to odczuwała, bowiem należąc do stałych bywalczyń teatralnych premier okupowała zwykle miejsca w pierwszych rzędach, jak najbliższej sceny. Wedle współczesnych kronikarzy bywała wszędzie, nieposkromiona ciekawość i nadzwyczajna ruchliwość nie dozwalały jej na chwilową bodaj nieobecność w wypadkach życia towarzyskiego czy artystycznego Warszawy. Nie wyobrażano sobie premiery teatralnej, koncertu czy rautu bez obecności charakterystycznej sylwetki niskiej, otyłej damy, która ekscentrycznym zachowaniem zwracała powszechną uwagę.

<sup>20</sup> *Lucyna Cwierzakiewiczowa*, „Wędrowiec”, 1896, nr 24, s. 470.

<sup>21</sup> *Lucyna Cwierzakiewiczowa*, „Bluszcz”, 1901, nr 10, s. 73; *Obiady bezpłatne*, „Kurier Warszawski”, 1884, nr 344a, s. 2.

<sup>22</sup> *L. Cwierzakiewiczowa*, *Szlachetne użytkowanie starzyzny*, „Kurier Warszawski”, 1895, nr 347, s. 2.

<sup>23</sup> *List E. Orzeszkowej do J. Łukaszeńskiego z 27 I 1881*, [w:] *E. Orzeszkowa*, *Listy zebrane*, oprac. E. Jankowski, t. 9, Wrocław 1981, s. 38.

W latach późniejszych, gdy nadmierna tusza utrudniała jej poruszanie się, gdy schody teatralnego foyer stawały się przeszkodą nie do pokonania, zmuszała służbę, a także znajomych, by wnosili ją na krzesło. Żądza życia, niezwykły temperament, młodzieńcze niemal pragnienie przeżyć brały górę nad oporem materii. Tę namiętność ujawniała w relacjach z koncertów i teatralnych premier. Nasycala je lawiną emocji, wzruszeń, porywów serca i egzaltacji. Śmieszyła wielu czytelników. Tak w postnych latach pozytywistycznych nie pisano. W pewnej mierze kwiecistą manierą stylistyczną wyprzedziła epokę modernizmu. W 1887 r. dzieliła się z czytelnikami wrażeniami z koncertu włoskiego skrzypka, Pablo Sarassate: „Nie czułam organizmu fizycznego, nie widziałam światła, nie pojmowałam myślą życia zwykłego [...] Bez krwi, bez ciała, ulatując duchem w duchowe krainy, widziałam tam tylko świat miłości, a wokoło grono cherubinów śpiewało miłości pieśń; ani jedna nuta nie była fałszywą, ani jedno słowo nie tchnęło obłudą, a każdy ton, ton tak pełny jak pierś młodzieńca, tak silny jak szal miłości. Porwana tym szałem i ja kochałam i ja biegłam w objęcia tej miłości, co mi ciągle, nieprzerwane obiecywało rozkosze, nie zbrudzone żadnym życia materialnego oddechem! [...] Kto jeszcze nie kochał, ten po elektrycznym dotknięciu smyczka Sarassatego przeczuje, że jest jeszcze coś w życiu, czego nie zna [...] Ten pójdzie jej [miłości] szukać i znajdzie ją niezawodnie, bo artysta mu powiedział »kochaj«”<sup>24</sup>. Zawsze ironiczny B. Prus skwitował w niedrukowanej kronice afekty Ćwierczakowskiej następującą uwagą: „Takie to melodie wygrywa Sarassate na warszawskich nerwach”<sup>25</sup>.

Pani Lucyna musiała nad wyraz cenić swój poetycki twór, skoro po latach opublikowała go jako impresję z koncertu polskiego skrzypka, Stanisława Barcewicza! Z godną podziwu pieczołowitością przedrukowała *in extenso* oryginalny tekst, pamieszczając w miejsce dawnego, nazwisko nowego ulubieńca<sup>26</sup>. W 1885 r. zachwycała się grą amanta scen polskich, Romana Żelazowskiego. Z rozbijającą szczerością wspominała porywy swego serca: „Zakochałam się na scenie w polskim Gariku<sup>27</sup> i kochałam jak dwudziestoletnie dziewczę, marzyłam, tęskniłam!... na wierzchołku Semeringu [...] pisałam jeremiady o mej tęsknocie i o moim dla jego artyzmu zachwycie. Zawsze kochałam nie żądając wzajemności, szczególnie, gdy już mi jej żądać nie było wolno. Otóż, to piękne, egzaltowane, szlachetne, bezinteresowne, macierzyńskie [...] uczucie zostało za-

<sup>24</sup> L. Ćwierczakiewiczowa, *Wrażenia po koncercie Sarassatego* [Rubryka: „Nadesłane”], „Słowo”, 1887, nr 38, s. 3.

<sup>25</sup> *Nie drukowane Kroniki tygodniowe Bolesława Prusa*, oprac. S. Fita, „Pamiętnik Literacki”, 1976, z. 1, s. 197.

<sup>26</sup> L. Ćwierczakiewiczowa, *Fragment z roku 1890. Wrażenia po koncercie Barcewicza*, „Kalendarz na rok 1898...”, s. 82–83.

<sup>27</sup> D. Garrick (1717–1779) — najwybitniejszy aktor angielski XVIII wieku.

poznane, nie ocenione właściwie, a nawet wdzięcznością nie odpłaczone [...]”<sup>28</sup>. Jak nie współczuć naszej bohaterce? Jak nie podziwiać szczerości konfesyjnych zwierzeń? I jak wreszcie nie zazdrościć odwagi 60-letniej damie, która w mocno pruderyjnych czasach wspomnienia z uczuciowych peregrynacji rozpoczynała prowokująco szczerym zdaniem: „Lubiłam zawsze ładnych chłopców”<sup>29</sup>.

Niekiedy szokowała szczerością. Pisała o jednej ze swych podopiecznych, że „zęby miała własne, ale takie latające[!], że ja memi wprawianemi musiałam zjadać twarde kawałki bułki. Ja nie rozumiem nigdy udawania, gdy miałam lat 24 miałam wprawiane zęby — opowiadałam o tem głośno, żeby mnie nie posądzono, że chcę z tego zrobić sekret”<sup>30</sup>. Rozbrajająca szczerość, granicząca z brutalnością, połączona z impulsywnym charakterem trwożyła wielu. Bano się jej kaśliwego języka, złośliwości, ciętej riposty, braku skrupułów w wykładaniu racji, zdolności ignorowania towarzyskich konwenansów. Do jednej z powieściopisarek — niektórzy widzieli w tej roli E. Orzeszkową — przy pierwszym spotkaniu poczęła zwracać się per ty, jak do koleżanki-pisarki. Ach! prawda — z ironią stwierdziła autorka — pani piszesz o plackach. Ćwierczakiewiczowa ripostowała bez namysłu: A pani pod placki<sup>31</sup>. W rocznikach czasopism, ówczesnych diariuszach i pamiętnikach przetrwało wiele podobnych anegdot. Na ile autentycznych nie sposób odpowiedzieć.

Słynne były w Warszawie czwartkowe obiady o godzinie drugiej, w antresolowym apartamencie pani Lucyny przy ulicy Królewskiej 3. Z despotyczną, gdyż nie znoszącą sprzeciwów gościnnością podejmowała świat artystyczny, literacki, dziennikarski. „Co tydzień biegły zaproszenia — pisze stały bywalec spotkań, Marian Gawalewicz — jak nakazy dla znajomych, a często niezajomych, wzywając na łyżkę rosołu, na herbatę z niespodziankami, na słynne flaki garnuszkowe lub wieczory tańczące. I cały świat bywał u pani Lucyny, lękając się obrazić ją odmową”<sup>32</sup>. Przyjęcia za sprawą znakomitych gości zamieniały się w muzyczne recitale, zdobione deklamacjami i wokalnymi popisami. Rej wodziła gospodyni, to prowadząc ożywioną gawędę, okraszoną jowialnym humorem, to znów zasiadając do swego ulubionego winta. W salonie pani Lucyny z pewnością się nie nudzono. Ale też z czasem zwiększał się zastęp adwersarzy urażonych nadmiarem weredyzmu, oburzonych natarczywością, zgorszonych rubasznym humorem gospodyni.

<sup>28</sup> L. Ćwierczakiewiczowa, *Z wiosnianych moich lat...*, s. 151.

<sup>29</sup> *Tamże*, s. 147.

<sup>30</sup> L. Ćwierczakiewiczowa, *Sylwetki moich panien do towarzystwa*, „Kalendarz na rok 1899...”, s. 7.

<sup>31</sup> S. Antoniewski, *Z galerii oryginałów i ekscentryków*, „Dziennik dla Wszystkich”, 1901, nr 81, s. 6. *Tamże* inne anegdoty. Por. także Z. Zaleska, *Czasopisma kobiece w Polsce*, Warszawa 1938, s. 75.

<sup>32</sup> Q. [M. Gawalewicz], *Pani Lucyna...*, s. 108.

Okazja do odwetu nadarzyła się pod koniec 1898 r. L. Ćwierczakiewiczowa w *Kołędzie na 1899 r.* opublikowała wspomnieniowe *Sylwetki moich panien do towarzystwa*. W kilkudziesięciostronicowym tekście nie pozostawiła suchej nitki na większości z 35 dziewcząt, które przewinięły się w ciągu 16 lat przez dom samotnej wdowy. Zaopatrzyła wspomnienia w znamienne motto zaczerpnięte z Sienkiewicza: „Nie znam zbrodniarzy, znam tylko ludzi uczciwych a i Ci są ohydni”. Z brutalną szczerością ujawniała szczegóły, także intymne, z życia swych panien. Bezlitośnie wyśmiewała często drobne ułomności. Przyjęła, zakładając, iż pisze „na pamiątkę sobie, a dla śmiechu innych”, szyderczy ton, widoczny choćby w określeniach kolejnych panien. Jedna to egzemplarz, inna okaz, trzecia flejtuch. Bezlitośnie drwiący ton sprawia w tekście przykre wrażenie. „Mam zwykle zwyczaj — pisze Ćwierczakiewiczowa — gdy potrzebuję panny, wziąć kurier w rękę i tam znalazłszy co dzień najmniej po 6 do 10 ogłoszeń żądających pracy, napisać mniej więcej do każdej, robiąc jej ofertę, czyli raczej żądając, aby o tej lub owej godzinie przysłała dla porozumienia się. Kosztuje mnie to zwykle po 3 kop., a doprawdy że warto, tyle różnych cudaków zobaczyć. Na przykład jedna ogłosiła się, że jest z wysokiego domu; gdy przysłała rzeczywiście wysoka, zapytałam: To pani, co w takim wysokim domu mieszka?, a była bardzo pospolitej powierzchowności [...] No, wszak takie oferty warte po 3 kop. za obejrzenie”<sup>33</sup>.

Z bezwzględną szczerością, bez litości wystawiała na pośmiewisko panny, dla których jakakolwiek posada stanowiła często warunek dalszej egzystencji. Wysmażyła pamflet, który w większym stopniu obnażył charakter autorki aniżeli bohaterki tekstu. Szydliła z wszystkiego, obwiniała swe panny o kradzieże, co graniczyło z oszczerstwem. Oto jedna z nich „miała jedno oko piwne, a drugie wyraźnie niebieskie [...] Zabrała mi z sobą, widocznie wypadkiem, parę nowych bucików, a zostawiła jakąś starą suknię, po którą przysłała w kilka tygodni matkę”, inna „głupiutka bo była strasznie”, następna „była zawsze nieposzlakowana, wytworna nawet, tymczasem doktor oskultując ją, żalił się przede mną, że miała wstrętne brudną koszulę, a jakieś znajome mi panny nie chciały się z nią kąpać w rzece z tej samej przyczyny”, a nader skąpa panienska „miała jeszcze jedno przyzwyczajenie nader wstrętne: śmiała się brzydko prawie zawsze, gdy coś opowiadała, tak iż była w stanie opowiadać, że ktoś umarł z uśmiechem na ustach”, kolejna „była niedługo i wcale nie pamiętam, dlaczego ją oddaliłam, to tylko pamiętam, że całość bardzo pospolita, bez rażących wad, ale też i bez wielkich przymiotów”, następna to „jakaś wstrętna stara panna, tak głupia, że o niej nawet wspominać nie warto. Jej głupota była taka, iż nawet igły grubej No 6, od cienkiej No 9, rozróżnić nie umiała, a ja byłam jeszcze

<sup>33</sup> L. Ćwierczakiewiczowa, *Sylwetki moich panien...*, s. 8.

głupsza, żem ją przyjąć mogła”, dalsza okazała się Żydówką, „wprawdzie była tylko jeden dzień, bo na wstępie stłukła mi, ścierając kurz z toalety, stojące tam lustro, dość kosztowne, a dowiedziawszy się o jej wyznaniu, pożegnałam wieczorem”. Jedna z nich „charakter miała wstrętny, całowała mnie po nogach, lizała się, pochlebiała, a jak to mówią diabła miała za skórą. Była fałszywą, kłamała jak z książki, a co najgorsza pojęcia nie miałam o takim nieporządku — opisywać tego nie umiem i nie kuszę się o to. Miała bardzo mało rzeczy, ratowałam ją jak mogłam, kupując co było gwałtownie potrzebne. Na przykład raz idziemy na obiad — deszcz pada i błoto straszne, ja spostrzegłam, że jej trzewiki są zniszczone, wchodzę z nią do jakiejś sieni, każę nogę podnieść i o nieba, ukazuje się coś niewidzianego w życiu! Skórkowe półbuciki — miały przód i napiętki, brakowało tylko jednej rzeczy... podeszwy”. Wysłana na nabożeństwo do kościoła ewangelickiego „w niespełna pół godziny panna Stanisława wraca, pytam dlaczego tak prędko, czy nie było nabożeństwa? — Odpowiada: było, ale ja nie umiem się modlić, gdzie nie ma obrazów. I ja i moi nieznajomni sąsiedzi w śmiech. No i wróciliśmy z tej nieszczęsnej podróży i naturalnie w kilka dni rozstałyśmy się ku wielkiemu memu zadowoleniu”. Kolejna odprawiona panna była „i posłuszna i około mnie chętnie robiła, a jednak całość jej osoby nie zadowalniała mnie — sama nie wiedziała czego chce, jednym słowem bywały czasami takie dziwne objawy, że choć nie było o co się gniewać, burzyło się wszystko we mnie, no ale główny powód i główny zarzut jaki miałam względem niej to że była nienaturalna, przesadzona, no i sepleniała bardzo, co przy mojem prostem usposobieniu uważajacem prawdę i pracę za podstawy życia, było nieznośne. Proszę sobie wyobrazić mnie z moją niecierpliwością słuchającą osobę czytającą — sepleniacą?”. Podczas powrotu z zagranicy Olimpię zatrzymano na granicy, z czego „miałam tę korzyść, żem jej kilka dni nie widziała, taka mi się już stała wstrętna”<sup>34</sup>. Ćwierczakiewiczowa posługiwała się w opisach imionami i inicjałami nazwisk swych podopiecznych, w kilku przypadkach ujawniała dodatkowe szczegóły ułatwiające identyfikację zdyskredytowanych panien. Maria F., „flejtuch w całym znaczeniu” i, zdaniem patronki, złodziejka, to córka radcy towarzystwa kredytowego z Radomia, Antoina H., podejrzana o przywłaszczenie materiału na suknię, to córka siostry jej pierwszego męża, a wiarołomna Mania nie wracająca nocami do domu to córka prezydenta Lublina itd.

Warszawska prasa zareagowała gwałtownym oburzeniem. „Wiek” opublikował ostrą krytykę wspomnień Ćwierczakiewiczowej, z którą wystąpił K-ski, a redakcja wyraziła solidarność z autorem. Wkrótce potem „Słowo” pomieściło równie gwałtowny list Mężatki. Do zgodnego chóru głosów oburzenia dołączył się zyczliwy dotąd autorce „Kurier War-

<sup>34</sup> Tamże, cytaty s. 3—31.

szawski”. „Gdy jednak czytelnik dotknie treści — komentowano — odczuwa wstręt i niesmak [...] Zaprawdę to przekracza wszelkie granice”<sup>35</sup>. Najpoważniejszą wszak polemikę podjął w kolejnym artykule „Wiek”. „Jako dodatni objaw opinii publicznej — pisano — poczytujemy mnóstwo listów, zawierających wyrazy uznania dla artykułu naszego w sprawie paszkwilu pani Ćwierciakiewiczowej [...] rzucającej publicznie garściami błota na kobiety, które przy niej pełniły obowiązki towarzyszek, a rzucającej je tak, że odsłania nazwiska i stosunki rodzinne osób oszkalowanych. Jeden z korespondentów naszych pisze między innymi: Efronteria tej pani stała się w Warszawie postrachem. Tolerowano jej wybryki towarzyskie i dziennikarskie, bo lękano się wprost jej sposobów wojowania. Wy odważyliście się zdemaskować publicznie charakter tej miłutkiej... i tem samym dobrym uczynkiem zakończyliście rok stary. Taka mniej więcej jest treść wszystkich listów. Forma ich jednak jest tak drastyczna, że powtórzyć ich tu nie możemy”<sup>36</sup>. W artykule cytowano list-replikę Ćwierciakiewiczowej na zarzuty prasowe. „Przysięgam w imię uczciwości — pisała pani Lucyna — iż wszystko, co pisałam w sylwetkach o moich pannach, jest najświętszą prawdą. Zaprzeczam tylko, jakobym napisała, że panna D. była potworem, a nie przypuszczam, aby imię i litera nazwiska dały możność odgadywania, kto się kryje pod tą lub ową literą. Muszę tu jednak dodać, iż w całym liście poznaję zemstę ojca jednej z pańien, z którym miałam niemiłe zajście. Namówiona przez jednego z literatów, opisałam te nieprawdopodobne epizody, prawdziwie jak to, że liczymy dziś rok 1899. List ten uważam za reklamę dla mojej *Kolędy tegorocznej*”<sup>37</sup>. „Wiek” konkludował: „Paszkwil autorki 365 *obiadów* jest czemś niezwykłym w publicystyce naszej i chcąc go należycie określić musielibyśmy sięgnąć do słownika wiedeńskiego parlamentu. »To doskonała reklama dla mojego kalendarza« — powiada cynicznie pani Ćwierciakiewiczowa. W tym jednym okrzyku zawarty jest wizerunek jego autorki. Nic więcej dodać nie potrzebujemy”<sup>38</sup>.

Do kampani prasowej skwapliwie włączyły się pisma humorystyczne, które od lat darzyły panią Lucynę sporym zainteresowaniem. W przeciwieństwie do niewinnych żartów przeszłości tym razem nie poskapiono jej złośliwości. „Mucha” opublikowała rzekomy dalszy ciąg *Panien do towarzystwa*. Przytoczmy tytułem przykładu dwie karykaturalne sylwetki: „No 40. Teraz do galerii potworów wchodzi panna Michalina X., siostrzenica rejenta z Radomia. Było to istne utrapienie. Głupia i zadowolona, nie pozwoliła, abym ją nazywała kulfonem, wycieruchem i śmieciarką. Nie podobało jej się, że czasami kazałam jej podawać panom

<sup>35</sup> Lector, *Z prasy polskiej*, „Kurier Warszawski”, 1899, nr 5, s. 2.

<sup>36</sup> W.R., *Na dobie*, „Wiek”, 1899, nr 2, s. 3.

<sup>37</sup> *Tamże*.

<sup>38</sup> *Tamże*.

palta, przynieść z piwnicy węgla lub z podwórza wody, bo jak to wyszczęłam pod No 34-tym, lokaja z zasady nie trzymam. O tej mogę tylko powiedzieć, że była latawcem, złodziejką i ladaczną, zresztą bardzo dobra i przyjemna dziewczyna. No 41. Panna Pulcherja S., córka emeryta z ulicy Śliskiej No 154, 3-cie piętro, w prawej oficynie, była skończoną ladaczną. Tylko pomyślcie, głośno opowiadała, że nie pojmuje przyczyn mojej wielkiej popularności, przy tem utrzymywała, iż filantropki są sto razy więcej warte, od takich cynicznych krzykaczek, jak ja, które wrzeszczą o swojej chwale i reklamę, zdobytą przemocą, przetapiają na pieniądze, bez żadnej korzyści dla społeczeństwa. Powiedziały jej, aby się wyniosła do diabła. Odchodząc, zabrała mi koreczek od flaszeczki po lekarstwie. I ta, jak widzicie, była kajdaniarką i złodziejką”<sup>39</sup>.

Prasa wypominała Ćwierczakiewiczowej skłonność do reklamiarstwa, bezwzględność, próżność i cynizm. Skromności nie zaliczała wszak do cnót. Nie zapomniano jej stwierdzeń typu „Śmiało, bez zrozumienia co do mojej znajomości kulinarnej powiedzieć mogę: Nie mam dziś w języku polskim konkurencji w tym kierunku”<sup>40</sup>. Swoistym zwieńczeniem prasowego odwetu był satyryczny wiersz pomieszczony w tygodniku „Mucha”<sup>41</sup>:

Władczyni w państwie rondla i warzających,  
Kształt Nemezydy przywdziała w Kolędzie  
Najuroczyściej na trójnog usiadła  
I nić paszkwila najspokojniej przędzie.  
Pożółknie na świat wyszczerzyła zęby,  
Z oskarżycielki prawowitej miną  
Jak rój szerszeni z pomarszczonej... buzi  
Insynuacje i kalumnie płyną  
Oto co mówię Wam, ja, dobrodziejka,  
Wciąż okradana przez was najbeszczelniej:  
Wyście z łask moich korzystały lejka,  
Na mej opieki smażone patelni...  
Lecz cóż, mój przepis nie mógł Was zamienić  
W taką, jak ja bym chciała mieć potrawę,  
A zaś wszystkiemu temu co jest winne?  
Wasze próżniactwo i czyny nieprawe.  
Ach, czemuż dla was nie zaświecił wzorem,  
Przykład powolnej mym skinieniom prasy,  
Na zawołanie sypiącej reklamy,  
Na smakołyki moje zawsze łasej...  
Toż tańcowali tak, jak ja zagrałam,

<sup>39</sup> Dalszy ciąg relacji pani Lucyny C\* o pannach do towarzystwa [\*W przypisie: „nazwiska nie wymieniamy, aby nikt z czytelników nie domyślił się, o kogo tu chodzi”], „Mucha”, 1899, nr 2, s. 2.

<sup>40</sup> *Skrzynka do listów*, „Kurier Warszawski”, 1895, nr 10, s. 4.

<sup>41</sup> *Pani Lucyna*, „Mucha”, 1899, nr 3, s. 2.

Ten ów redaktor — ten i ów reporter,  
Wiedząc, że za to czeka ich nagroda,  
Smaczny obiadek i posilny porter.

A wy uparte, głupie, samowolne,  
Aniście słuchać chciały mię, łajdaczki,  
Kradnąc podstępnie, swojej dobrodziejce,  
Stare przepisy, stare wykałaczkii...  
Ja, cobym wszystko spieniężyć umiała,  
Przez Was poniosłam oczywistą stratę...  
Wście mi sławę moją uszczupliły,  
A co ważniejsze i moją intratę.

Ze zaś za jedno, tak jak i za drugie  
Słuszne przypada mi odszkodowanie  
Tedy w »Koleędzie« mojej jak najstuszniej  
Miałam Was prawo »ubrać«, moje panie  
Na rozeń mego wdziałam Was języka,  
I na powolnym ogniu Was usmażę;  
A potem sosem paszkwilu podleję —  
To na reklamy zagra mi gitarze

Jako się rzekło, tak się stało Dzisiaj,  
Gdy na Autorkę (?) zewsząd płyną basy,  
Jakże godnemi muszą być zazdrości  
Chwile, nim zdzierać z niej poczęto pasy;  
Morałem kończym naszą epistołę:  
Biada, gdy język zbyt się rozhula...  
Na rozmyślanie bowiem i pokutę  
Autorka (?) może dostać się do ula.

Prasa warszawska zgodnym chórem łajała niepokorną autorkę. Zapomniano, że brutalna prawdomówność Cwierzakiewiczowej wyzbyta była złych intencji. W przypływach nadmiernej szczerości w równym bowiem stopniu ujawniała grzechy własne jak i cudze. We wspomnieniach o Tytusie Chałubińskim tak opisywała kurację zaordynowaną przez znakomitego lekarza chorej na febrę autorce: „Wezwany felczer urządził mi na lewym boku, na śledzionie skaryfikację na małej przestrzeni oznaczonej przez doktora na papierku [...] Jak podobne cięcia są bolesne, pojąć tylko może doświadczony w tym kierunku pacjent, toteż przy nader obraźliwym mojem usposobieniu krzyczałam w niebogłosy, i parę razy w ciągu operacji uderzyłam w twarz owego znakomitego felczera [...]”<sup>42</sup>. Czy nie miała racji układając następujący aforyzm: „Ten tylko ludziom śmiało prawdę mówi, kto sam prawdą zawsze żyje”. W czasie kampanii prasowej przeciwko autorce *Panien...* nikt nie stanął w jej obronie. A przecież wielu korzystało przez lata z jej pomocy i wsparcia. Inny aforyzm pani Lucyny stanowi być może pointę tej historii: „Gdybyśmy czyniąc dobrze chcieli liczyć na wdzięczność, nie zrobilibyśmy nic dobrego. Wdzięcznym umie być tylko człowiek szlachet-

<sup>42</sup> L. Cwierzakiewiczowa, *Ze wspomnień o Chałubińskim*, „Kalendarz na rok 1894...”, s. 231—232.



ny”<sup>43</sup>. Po skandalu prasowym Ćwierczakiewiczowa zamilkła. Zawiesiła druk *Kołędy*, zaniechała współpracy z prasą. I tylko na przedostatniej stronie „Tygodnika Mód” redagowała niepozorną, skromną objętościowo rubrykę „Wskazówek i rad”. Prowadziła ją od 1895 r., od czasu odejścia z „Bluszczu”. Ostatnią poradę, przepis na polędwicę we francuskim cieście, opublikowała w nrze 7 z 16 lutego 1901 r. Zmarła w dziesięć dni później na zapalenie płuc<sup>44</sup>.

Porady Ćwierczakiewiczowej przez kilka dziesięcioleci decydowały o tym, co i jak jadano w polskich domach. Prowadziła uporczywą edukację kulinarną, upowszechniała w pismach wizerunek rządnej gospodyni. Tekstami a także własnym przykładem przełamywała uprzedzenia, iż zajmowanie się kuchnią należy do złego tonu i nie godne jest kobiety ze sfer wyższych. Wartości, do których przywiązywała wagę, których broniła i do których przekonywała czytelniczki, nie tworzyły jednak ani filozofii smaku, ani wyrefinowanej sztuki prowadzenia domowego gospodarstwa. Nie była polskim Brillat-Savarin, jak chcieli niektórzy, być może z racji niedostatków pióra. Anegdotyczny styl jej tekstów drażnił raczej, a nawet oburzał, brakowało bowiem jej utworom polotu, lekkości, finezji stylistycznej. Nieliczne jej teksty uderzają trafnością, zwiastują umiejętność celnych asocjacji i trafnych porównań. „Sala jadalna jest teatrem — pisze o ceremoniale biesiadnym — którego zakulisami jest kuchnia, a sceną stół jadalny. Takiemu teatrowi potrzebne jest obszerne miejsce, takiej scenie potrzebne są ozdoby, zewnętrzne decorum, a takiej kuchni potrzeba pewnego rodzaju intrygi, poruszającej całą maszynę. Zupa jest uwerturą, przedmową, jest nawet czemś więcej. Z jej składu i aromatu sędzić można o następnych daniach obiadu. Staraj się więc o dobry smak zupy z pieczołowitością kompozytora względem uwertury jego nowej opery. Jeżeli obiad będzie składał się z trzech dań, jak opera komiczna w 3-ach aktach, zupa powinna być skromna. Jeżeli obiad ma być operą gastronomiczną w 5-ciu aktach, a 10-ciu obrazach — należy podać zupę jako przedmowę — niby przedsmak wykwintnych potraw, jakie nastąpią [...]” itp.<sup>45</sup> Niewiele jednak takich pozycji pozostawiła.

Nie sposób zaprzeczyć jej zasługom w propagowaniu racjonalnych obyczajów kulinarnych. Wprowadziła do polskich jadłospisów jarzyny w różnorodnych postaciach i zestawach. Na łamach „Bluszczu” i kilku innych pism systematycznie donosiła o nowościach gospodarstwa domowego. Zachęcała do mechanizacji prac kuchennych, reklamowała nowe

<sup>43</sup> [Aforyzmy], *tamże*, s. 248; „Kalendarz na rok 1897...”, s. 101.

<sup>44</sup> W testamencie zapisała 26 tys. rubli bliższym i dalszym krewnym oraz przyjaciółom. Prawa do wydawnictw przekazała Janowi Fiszerowi i Zygmuntowi Sarneckiemu z poleceniem rozdawania każdego roku w dniu 17 października kwoty 300 rubli niezamożnym studentom. Por. Gama, *Warszawa*, „Kraj”, 1901, nr 9, s. 16.

<sup>45</sup> L. Ćwierczakiewiczowa, *Przy stole*, „Kalendarz na rok 1899...”, s. 65.

urządzenia gospodarskie, od filtrów wodnych po pneumatyczne maszyny pralnicze. Jako jedna z pierwszych gospodyń warszawskich zaprowadziła w domu gaz i w pełnych zachwyty słowach powracała kilkakrotnie do pożytków nowego urządzenia<sup>46</sup>. „Bluszcz” nie wykorzystał przykładu Lucyny Ćwierczakiewiczowej we własnej publicystyce na temat usamodzielnienia kobiety. Jej ekspansywna osobowość wyłamywała się z dość ciasnych ram pisma, z którego emanował wzór aktywnej, lecz nad wyraz skromnej niewiasty. A skromności pani Lucyna nie zaliczała do cnót godnych naśladowania. Jej pewność siebie, ostentacja w samochwaleniu, autoafirmacja, brak pokory kolidowały z wzorcem osobowym pisma. Uosabiała postać kobiety przedsiębiorczej, *self made woman*, która osiąga sukces i dostatek własną pracą. Była swoistym symbolem mieszczańskie emancypacji. I to emancypacji poprzez i dzięki pracy. A jednak pozytywistyczna publicystyka prasowa nie potrafiła spożytkować jej przykładu we własnych celach programowych.

---

<sup>46</sup> Por. np. „Kurier Warszawski”, 1894, nr 359; 1895, nr 2; „Kalendarz na rok 1896...”, s. 53—60.